

Mariusz Jazowski
Anna Kapusta
Katarzyna Piszczkiewicz

STARUSZKI ZNALEZIONE

Kraków 2016

Seria: Tekstoterapia ©

T.: I.

Fundatorzy wydania: Marta i Jerzy Koskowie

© Edycja, opracowanie graficzne: Katarzyna Piszczkiewicz

© Fotografia na pierwszej stronie okładki: Andrzej Majewski

© Mariusz Jazowski, Anna Kapusta, Katarzyna Piszczkiewicz, *STARUSZKI ZNALEZIONE*, 2016.

© Staruszki Znalezione przez Mariusza Jazowskiego, Annę Kapustę i Katarzynę Piszczkiewicz zostały zebrane i podane do druku przez Annę Kapustę, a dedykowane są One Wszystkim Staruszkom Świata oraz dobrej pamięci Babci Agnieszki Kapusty z domu Kumala.

ISBN 978-83-7490-905-1

Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce

ul. św. Filipa 7, 31–150 Kraków

tel.: 12 634-11-27, 632-66-04, 633-09-41 fax 12 632-20-80

e-mail: zg@tsp.org.pl

www.tsp.org.pl

Babcia Kwiatkowa

Pojawia się wczesną wiosną i do późnej jesieni, co tydzień, przynosi swoje bukietki.

I historie. O ludziach, relacjach i wydarzeniach jej 90-letniego życia.

O uzdrowieniu prababki, zawiezionej konnym wozem

do cudownego źródła, o haftowanych w kwiaty obrusach,

o weselach, na których deklamuje wiersze i rymowane toasty.

Aż jej się śmieją oczy.

Słucham.

I widzę w niej Wszystkie-Babcie-Świata.

Tak tu lubię do pana wpaść i porozmawiać – mówi.

Słucham. Rozmawiamy.

I cała jej radość z drobiazgów objawia się w tych bukietach.

Zbiorach maleńkich cudowności.

Stokrotka, jaskier, liść kaliny, hortensja, jaśmin, rumianek, malwa, nawłóć.

Z łąki, z lasu, z własnego ogródka, od znajomych, zerwane przy drodze.

Wielkie Prawo do zaistnienia w bukiecie.

Słucham. Rozmawiamy. Śmiejemy się.

Dzisiaj to już się przysłałam z panem pożegnać, bo bardzo jestem słaba a i kwiatów już nie ma, powiedziała w zeszłym roku w listopadzie.

Ale przyszła z wiosną.

Tyle mu zawdzięczam – usłyszała moja siostra. Co takiego? – zaskoczona zapytała potem mnie.

Nie wiem, odpowiedziałem poruszony.

Słucham. Rozmawiamy. Śmiejemy się. Wzruszamy.

Oboje mamy lepsze i gorsze dni.

Czasem jest nas dla siebie mniej lub więcej.

Ale jesteśmy.



Staruszka Samowspierająca

Nie mam w domu nadal ekspresu do kawy.

Wobec tego stanu rzeczy zdarza mi się wypić czasem kawę w drodze, w skromnej piekarnio-cukierni. W drodze - przestrzeni fizycznej i w drodze - trakcie codziennych myśli. Dosłownie, ale i z radosną praktyką metafory. Jak kto woli i potrzebuje. Każdy taki stan ludzkich rzeczy zawsze wydarza się w drodze, jako że w drodze zwykle spotykamy innych, w ich własnych stanach rzeczy, i w ich własnych drogach. Taki to banał życia - tło, z którego czasem da się wykroić – niczym kawałek cukierniowego tortu – figurę, to coś dla nas, co nie było nasze, ale – przez nas – znaczyć coś może dla nas samych. Oczywiście jeśli wybierzemy dla siebie właśnie takie tło i właśnie taką figurę. W takiej mojej drodze wybrałam się na kawę z ekspresu. Usiadłam z filiżanką przy stoliku, rozpuszczając się nieuporządkowanymi i dowolnymi myślami w spienionym mleku. Kiedy podniosłam oczy, nad moim stolikiem zawisnęła Staruszka, postać niosąca na tacy już rozlaną kawę. Czy mogę wypić z Panią kawę ? – zapytała. Oczywiście zgodziłam się na to, aby usiadła przy stoliku. Z ciekawością przyglądałam się jej wielu płóciennym torbom, przewieszonym przez oba ramiona, pas i obie ręce. Staruszka była elegancką, schludną kobietą około lat dziewięćdziesięciu. Torby i torebki stanowiły naturalne przedłużenie i przedmiotowy przerost jej ciała, były one z tym ciałem splecione i zrastały się z Nią Całą, jakby organicznie wykwitwały z jej organizmu. Cała Ona uobecniała jakiś magiczny, bo niecodzienny: synergiczno-ekologiczny bioobiekt, system toreb i człowieka, zamknięty bioobieg bycia w świecie. Moja dyskretna obserwacja, konsekwentna uważność i kilkusekundowa pseudomedytacja tego złożonego systemu przerwane zostały ucieleśnionym poematem rozkwitającym, wyptywającym głosem wprost z ciała Staruszki. Wie Pani, mam reumatyzm i stawy, no i raz na jakiś czas chwyta mi rękę tak mocno, że nie mogę sobie sama uruchomić ekspresu, no i wtedy przychodzę na

kawę do cukierni. Rozpoczęła Staruszka swój monologiczny - ów - poemat rozkwitający. No i biorę tacę, bo w ręce bym tej kawy nie utrzymała, rozlewa się trochę, ale co to komu szkodzi. Uśmiechnęłam się słuchając. Stawy mi wypadają raz na dwa tygodnie, więc dwa razy w miesiącu piję kawę w cukierni. Zabieram wtedy wszystkie potrzebne rzeczy i pakuję je w torby, tak żeby mieć wolne ręce. I rozpoczęła prezentację zrośniętych z nią niemalże toreb-organów radzenia sobie w mieście. Każda torba była nakładką na jej codzienność. Torba na portfel. Torba na dokumenty. Osobna, gdyby ją ukradli. Torba na telefon z ustawionym numerem alarmowym na pogotowie, policję i do córki. Torba na leki. Torba na wodę mineralną. Torba na okulary. Torba na książkę do poczytania w drodze. Każda z toreb była płócienna, przywiązywana do ręki, ramion, pasa. Jak potrzeba, to proszę o pomoc, zawsze ktoś odwiąże – wyjaśniała. Na koniec monologu Staruszka zasępiła się dojmującym smutkiem i dodała: Dwadzieścia lat temu na ławce przy Muzeum Etnograficznym przy Wolnicy znalazłam książkę do historii sztuki. Portier nie chciał przyjąć. Nie było adresu zwrotnego. Odłożyłam ją w domu i nie mogę przynieść, bo nie mam dobrej torby na nią. Za duża jest. A oddałabym, bo w życiu trzeba się wspierać. A jak nie ma kto wspierać, to samemu trzeba. Po kawie mi się lepiej chodzi. Idę. I poszła, uprzejmie dziękując za towarzystwo. Strauszka Samowspierająca oddniosła swoją filiżankę i jeszcze zza szyby pomachała do mnie płócienną torbą z okularami. Obserwowałam ją w tym dystyngowanym ruchu żywego pakunku ludzkiego, próbując osadzić w niej także opowiadkę znad kawy o tym, jak to dwu mężów miała, obaj umarli, więc za trzecim razem – żeby nie kusić losu, nie wyszła już za męża. Ale tak się stało, że ten trzeci też umarł. A szkoda, bo miałby kto puścić ekspres. Chociaż z drugiej strony, nie byłoby kawy w cukierni, a zawsze się z kimś nowym porozmawia. Po Staruszce został we mnie otwarty, bo na pewno – nie-pusty - cukierniowy fotel. Kawę można zrobić albo kupić. Filiżankę przynieść w rękach albo na tacy. Rozlaną plamkę da się wytrzeć chusteczką. Ciężary można porozkładać w płóciennych torbach ... Można też wspierać albo sobie pomagać, jak i co trzeba. Można. Da się. A najlepiej o tym, co można i co się da opowiedzieć przy dobrej kawie. Słuchającej. Bo wszystko, co najciekawsze, da się wysłuchać od ludzi. Dlatego Staruszka się pakuje i sama chodzi. W ogóle jej się dobrze chodzi z wolnymi rękami. Ale jakby

trzeba było się podeprzeć, to się kupi dwa kijki, przecież to żaden problem.

I następnym razem trzeba więcej mleka poprosić do kawy, bo taka mocna jest niedobra z sernikiem. Bo wszystko jest do zrobienia, tylko trzeba się zebrać. Ludzie nie są źli, zawsze ktoś odwiąże torbę, żeby z niej wyjąć, co trzeba. Ktoś się znajdzie.

Można by tę przypowiestkę przegadać na wiele sposobów, gdyby mieć taką motywację. Ale można po prostu posłuchać jej w sobie, jak krąży kawą w krwiobiegu. Jak przykleja wzrok do płóciennych toreb. Wreszcie, jak uczy pokory wobec każdego nie da się i nie dam rady. Da się tak.

Banał to okrutny w swojej realności.

Porażająca estetyka naiwności.

Miażdżąca potęga prostoty.

Domniemana lekcja.

Doświadczanie doświadczenia.

Tłó.

Figura.

Przypowieстка znad kawy.



Prywatna galeria staruszek

Staruszka bez twarzy

Chronologia tworzenia prywatnej galerii staruszek nie jest zapewne super istotna, ale jednak zacznę od staruszki z najstarszego wspomnienia, czyli wyciągniętej z pamięci dzieciństwa. Staruszka wrośnięta była w krajobraz Lipnicy Murowanej i trudniła się (to jest właściwe słowo) zamiataniem ulic. Ludzie mówili o niej „Wikta”, czyli musiała nosić dumne imię Wiktoria. Nigdy, po prostu nigdy nie widziałam, żeby ktoś z nią rozmawiał. Nie wiem, czy swoje zajęcie wybrała sobie sama (jak np. gówniarz krakowski), czy ktoś ją zatrudniał (jeśli tak, to zapewne gmina). Po namyśle, chyba jednak to drugie – Wikta nosiła kamizelkę roboczą. *Uniform* sprawiający, że wtapiała się w okolicę, robiła niezauważalna, stale obecna (i pewnie stale potrzebna), ale przezroczysta. Sprowadzona do miotły, w którą zawsze była uzbrojona. Nie znalazłam w sobie (teraz to widzę) żadnej ciekawości, żadnego pytania (które mogłam zadać babci czy dziadkowi), jak Wikta się nazywa, czy ma rodzinę, ile ma lat, gdzie mieszka – jakby nie była człowiekiem. I jakby nie miała twarzy – była sylwetką. Cieniem na kostce rynku.

Karmicielki ptaków

Jest ich kilka, są z różnych czasów i różnych miejsc (realnych i literacko-filmowych). Ta z ulicy Włóczków jest otyła, chodzi rozkołysanym krokiem, który niemal natychmiast wywołuje u obserwatora uczucie zmęczenia. Ale empatia szybko się kończy w zderzeniu z kategoryczną postawą staruszki. Bezkompromisowa, pokrzykuje na przechodniów: „*jedzą, bo mają; dupy im rosną od szynki; psiakrew; cholera; kurwa*”. Wyposażeniem wojowniczką jest zajeżdżony wózek na zakupy, wypakowany rozmoczonym chlebem i utłuczonymi ziemniakami. *Kurwa* i chlast, porcja ziemniaków ląduje na chodniku. Gołębie zlatują się natychmiast, jest zamieszanie, harmider, chaos, furgotanie kilkudziesięciu par skrzydeł, w powietrzu unosi się nagle lekki smród. Torba zamyka się na pasek z klipsem,

kobieta-okręt rusza w stronę ulicy Kościuszki. Powinam pisać w czasie przeszłym, bo nie widziałam jej od dobrych siedmiu lat.

W październiku 2015 stałam rano na przystanku tramwajowym przy placu Wszystkich Świętych w Krakowie i zobaczyłam straszą panią (właściwie nie staruszkę), niezwykle schludną, nie przesadnie wymuskaną, ale ubraną, jakby szła do pracy (nie fizycznej) lub na spotkanie. Pani weszła w krąg ławek przed magistratem, sięgnęła do torebki i szerokim gestem rozsypała wokół siebie ziarno. Gołębie zareagowały jak w opisie powyżej, pani powtórzyła gest, zawiesiła torebkę na ramieniu, uśmiechnęła się i odeszła. Scenę oprócz mnie obserwowała babcia czekająca z wnuczką na tramwaj (pewnie odwoziła dziewczynkę do szkoły). Patrząc za odchodzącą karmicielką wycedziła: *nawiedzona*. Z nienawiścią. Dziecko popatrzyło na nią zdumione.

Spotkanie III stopnia

Zdarzyło mi się, gdy byłam bardzo młoda. Studiowałam w Paryżu, dorabiałam jako *fille-au-pair*, a w czasie wakacji, gdy bogate dzieci wyjeżdżają do Biarritz czy Chamonix, szukałam jakiegokolwiek zajęcia. Trafiłam wtedy do domu pani M. M. miała jakieś 90 lat, wywodziła się z tzw. emigracji londyńskiej, była wdową po słynnym historyku, straciła syna jedynaka i dożywała swoich dni w wielkim paryskim mieszkaniu. Opiekowały się nią na zmianę trzy panie pochodzące spod Skawiny. Ta, której kolejka wypadła w wakacje, musiała pilnie wyjechać do Polski na pogrzeb kogoś bliskiego. Miałam ją zastępować przez tydzień. Miałam dwadzieścia trzy lata i przez tydzień zajmowałam się osobą, którą będę kiedyś. Tak to przeżyłam. Asystowałam M. we wszelkich czynnościach jej życia, bo takiej asysty potrzebowała. To nie był koszmar czy męczarnia, to było odkrycie. Także jakieś zsunięcie się dwóch osób w jedną. Myłam ciało M. i za jakiś czas myłam swoje ciało, i wydawało mi się, że ona to ja, a ja to ona. Codziennie przez siedem dni pomagałam jej przeistoczyć się z nieporadnej, bezkształtnej kukielki w elegancką, ufryzowaną damę. Po tygodniu zauważyłam, że moje ciało jest starsze. Naprawdę. To w sumie historia mnie jako staruszki. Dostałam od M. na pamiątkę wielotomowe dzieło jej męża. Mam je do dziś. Nigdy nie przeczytałam.

